

Tego o nich nie wiecie

Święty znad źródeł Gangesu

Któż z nas w młodości nie rozczytywał się w książkach o Indiach. „Księgę Dżungli” Rudyarda Kiplinga czy „Tomka na tropach Yeti” Alfreda Szklarskiego przeczytałem jednym tchem. A powieść Wacława Korabiewicza „Żaglem do jogów” była dla mnie wyzwaniem. Wiedziałem, że muszę pojechać do Indii, poznać tajemniczy świat joginów, dotrzeć do źródeł Gangesu, poczuć atmosferę mistycyzmu tego fascynującego kraju.

W Indiach prawie każde wzgórze czy góra są w pewnym stopniu święte. Szczególnie dotyczy to Himalajów. Nawet skały mają jakieś znaczenie religijne, zwłaszcza, jeśli to są skały wznoszące się pionowo do góry i mają falliczne kształty. W opisach zawartych w eposejach starohinduskich „Mahabharacie” i „Ramajanie” Himalaje leżą u podnóża góry Meru, stanowiącej środek świata. Wokół Meru na szczytach sięgających samego nieba mieszkają bogowie.

Himalaje Garhwalu na północy Indii są czczone przez setki milionów wyznawców hinduizmu, wszak z nich wypływa święta rzeka Ganges. Stare księgi sakralne głoszą, że Ganges wypływa on ze stopy boga Wisznu, opływa niebo pod postacią drogi mlecznej „Mandakini”, a potem spada ze splątanych włosów Sziwy.

Każdy szanujący się wyznawca hinduizmu powinien powędrować w swoim życiu do trzech źródeł Gangesu: do Gangotri, Badrinath i Kadernath.

Latem hinduska armia i dziesiątki tysięcy pracowników naprawiają pracowicie zniszczone przez monsunowe deszcze mosty i zerwane drogi, by setki tysięcy pątników mogły dotrzeć do świętych miejsc. Pielgrzymują całe rodziny, miasta, prowincje. Jeśli nie liczyć aspektów militarnych, to praktycznie dzięki pielgrzymkom utrzymywana jest sprawna sieć kamienistych dróg w Himalajach Garhwalu, co ułatwia niewątpliwie organizację wypraw alpinistycznych. Jazda w rozklekotanych autobusach z pielgrzymami z całych Indii, nad wielkimi przepaściami, to duże przeżycie. Wieczorami, na noclegach w salach dla pielgrzymów mogłem usłyszeć niesamowite opowieści o żyjących i medytujących nad źródłami Gangesu kapłanach, zwanych świętymi - swami.

Ponoć w Badrinath żyją swami w niezwyklej medytacji udoskonalający swoje ciało: potrafią na przykład siedzieć na gołej pupie przez sześć tygodni na lodowcu.

A w Kadernath swami koncentrują się na sprawach ludzkiego poczęcia: podobno potrafią doprowadzić organizm do takiej sytuacji, kiedy orgazm u mężczyzny trwa godzinę, a potem tenże mężczyzna jest w stanie wciągnąć

plemniki do środka.

Gdy podczas moich wędrówek po Indiach słuchałem tych opowieści i w świetle żarowych lamp naftowych widziałem twarze pielgrzymów z całego subkontynentu indyjskiego, od Kerali po Uttar Pradesh, o różnej skórze, karnacji i budowie, wiedziałem, że tutaj, w Indiach, nie ma rzeczy niemożliwych.

Latem 1981 roku prowadziłem w Himalajach Garhwalu wyprawę Akademickiego Klubu Alpinistycznego w Gdańsku. W połowie sierpnia nasza wyprawa założyła bazę na wysokości 4200 m n.p.m. na wielkiej łące Tapovan nad lodowcem Gangotri, u stóp tejże góry Meru, będącej dla wyznawców hinduizmu legendarnym środkiem świata. Tuż pod nami było źródło Gangesu. W Gomoukh, z wielkiej lodowej jaskini, z czoła lodowca Gangotri, wypływała rzeka Bhagirathi, dająca początek Gangesowi. Na morenie lodowca, w kamiennych kolebach, mieszkało w pewnym oddaleniu od siebie, kilku pustelników. Z jednym z nich udało mi się zaprzyjaźnić.

Nasz swami mieszkał od kwietnia do października w zagłębieniu pod wielkim głazem obudowanym kamieniami, gdzie umieścił sobie przytulne schronienie. Medytował, czytał wiele książek, pogłębiając swoją wiedzę w charyzmatycznym miejscu na źródłem świętej rzeki. Zimą swoje przemyślenia przekazywał w szkołach dla kapłanów w Madrasie i Kalkucie.

Byliśmy jedną z pierwszych wypraw alpinistycznych w tym rejonie, nie posiadaliśmy dokładnych jego map. W przeddzień wyjścia na pierwszy rekonesans Swami sam zaproponował nam swoją pomoc. Okazał się bezcennym przewodnikiem, pokazywał nam najlepsze przejścia przez lodowce, znajdował najlepsze skróty w wielkich kamiennych rumowiskach moren lodowcowych.

Z racji mojej funkcji kierowniczej, jako leader sahib, przypadło mi spanie w namiocie ze swamim. Swami zasypiał zawsze pierwszy, tuż po zachodzie słońca i gdy wchodziłem chwilę potem do namiotu, czułem się jakbym wchodził do sklepu korzennego.

Ze starannością i szacunkiem podeszliśmy do jego wiary i przekonań. Gotowaliśmy dla niego wegetariańskie posiłki w nowych menażkach, w których nigdy nie było mięsa ani ryby. Swami ufał nam w tej sprawie, byliśmy dla niego wiarygodnymi partnerami. Mieliśmy tę satysfakcję, że jednakowo z nami męczył się na uciążliwych podejściach i na wysokości ponad pięć tysięcy metrów nad poziomem morza podobnie jak my cierpiał na bóle głowy.

Później w czasie trwania wyprawy odwiedzał często naszą bazę. Przy okazji okazało się, że nie był zbyt ortodoksyjny, chętnie palił amerykańskie papierosy. Jego wizyty powodowały uspokojenie dynamicznego rytmu życia w bazie, zawsze znajdowaliśmy czas na spokojne wypicie herbaty i dłuższą rozmowę. Swami mówił swobodnie po angielsku, lecz nigdy nie odpowiedział mi na pytanie ile ma lat.

Wydaje mi się, że pytanie zrozumiał, ale sam chyba nie znał swojego wieku.

Odwiedzałem go często. Zastawałem go siedzącego na zewnątrz przed wielkim kamieniem, czytającego święte księgi lub w środku koleby podczas medytacji przed obrazem boga Kryszny, oświetlonym japońską lampą neonową. Częstoował mnie swoimi posiłkami. Żywność otrzymał od docierających do niego hinduskich pielgrzymów, którzy traktowali go z wielką atencją.

Był bardzo życzliwy, pożyczył nam prymus naftowy, szybkowar, nawet pomógł w naprawie moich wielkich podwójnych skórzanych butów wspinaczkowych, od których odeszła podeszwa. Przy tej naprawie zdrowo się zmęczyliśmy.

Chyba mnie polubił, bo specjalnie dla mnie rozpuścił długie włosy, spięte na kształt turbanu i pozwolił się do woli fotografować na tle gór, które otaczał specjalną estymą.

Przez miesiąc działaliśmy w przepięknej górskiej scenerii nad lodowcem Gangotri. Zdobyliśmy jako pierwsi Polacy jeden siedmiotysięcznik i trzy szczyty sześciotysięczne. Z żalem rozstawaliśmy się z tym uroczym miejscem i naszym swamim. Zostawiliśmy mu wszystkie nasze zapasy, podarowałem mu swoje zdjęcie. Później przez wiele lat co roku przez himalaistów z całego świata otrzymywałem od niego pozdrowienia. Moje zdjęcie umieścił tuż obok ołtarzyka boga Kryszny.

Minęło ot tego czasu trzydzieści lat. Przez ten czas każdego sezonu do doliny Gangotro docierały kolejne wyprawy alpinistyczne, wytyczając nowe wielkie sportowe drogi na wielkich lodowo-skalnych ścianach himalajskich olbrzymów: skończył się etap eksploracji, Gangotri stało się po części areną, gdzie najlepsi alpiniści świata prowadzą między sobą mimowolną rywalizację.

Również w dolinie wiele się zmieniło, w kamiennych kolebach mieszkają inni pustelnicy, nikt nie wie, co się stało z naszym świętym - swamim. Z pewnością gdzieś żyje godnie w wielkim tyglu ludzkim jaki są Indie. Pozostał jego wizerunek niezwykłego człowieka, który w bezpośrednim spotkaniu zyskał normalny, ludzki wymiar.

Michał Kochańczyk